EPOKA

TYGODNIK

ROK II | Warszawa, 23 kwietnia 1933 R. | NR. 17 (30)

Dość tej męki!

Drogi hitleryzmu

Za to mu płacą...

Uratowany trud myśli

Przerażone kołtuństwo

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Najnowsze książki.

AUTORZY: Michałowski. Rawski. Kornacki. Węgliński. Szpecht. Witkiewicz. Czosnowski.

C

Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

KŁAMLIWE ZAPRZECZENIA

Liczne organizacje niemieckie, polityczne, społeczne, literackie i naukowe rozsyłają po świecie „sprostowania" i oświadczenia, jakoby wszystkie wieści o zbrodniach band hitlerowskich były „zmyślone". Oświadczenia te, sporządzane pod terrorem, nie mogą wprowadzić w błąd opinji wszechświatowej.

Między innemi takie „zaprzeczenie" rozesłała Centrala Związków Zawodowych Pracowników w Niemczech (Gewertschaftsbund der Angestellten) do analogicznych związków w innych państwach. Na otrzymany od tej organizacji telegram, polska Unja Związków Zawodowych Pracowników umysłowych odpowiedziała listem treści następującej:

„W odpowiedzi na telegram stwierdzamy, iż Wasza inicjatywa jest sprzeczna z zasadą ścisłej neutralności politycznej i narodowej, stanowiącej podstawę statutów Międzynarodowej Federacji Organizacyj Zawodowych Niezależnych Pracowników Umysłowych Najemnych, której celem jest współpraca organizacyj zawodowych w zakresie wspólnych interesów gospodarczych i społecznych pracowników.

Żałujemy ponadto, iż Organizacja Wasza bierze udział w akcji, której celem jest zmniejszenie doniosłości aktów gwałtu, które miały miejsce w stosunku do obywateli innego wyznania lub narodowości.

Posiadamy szczegółowe informacje, dotyczące obywateli polskich. Z dokumentów tych wynika, że w ostatnich dniach liczba najcięższych wypadków przewyższała 100, co dowodzi braku należytej ochrony. Dokumenty te, których dziś możecie nie znać, będą mogły być Wam wręczone przy naszem najbliższem spotkaniu".

BRATNIE DUSZE

Słowo Pomorskie (nr. 38) podaje ilustrację z Berlina, scenę rewidowania Żyda. Pod ilustracją — tekst pełen sympatji dla hitlerowskich bezeceństw:

„Dajemy tu scenę z dzielnicy żydowskiej w Berlinie, gdzie policja dokonała w tych dniach szczegółowej rewizji, poszukując broni i nielegalnej bibuły. Broni tam pewno wiele nie znaleźli, bo żydkowie boją się prochu, ale hitlerowcom chodziło o okazję do przetrzepania skóry żydkom".

NOWY KOŚCIÓŁ W „TRZECIEJ RZESZY"

Sprzyjający hitleryzmowi duchowni ewangeliccy w Niemczech zwołali w tych dniach do Berlina kongres, na którym przyjęto następującą uchwałę:

„Bóg żąda, abym walczył o moją niemieckość. Służba wojenna nie gwałci w żadnym razie sumienia chrześcijanina, przeciwnie — jest wyrazem posłuszeństwa wobec Boga. Wierzącemu przysługuje prawo wypowiedzenia walki państwu, które otacza opieką ciemne siły. Te same prawa przysługują wierzącym w stosunku do kościoła, który nie chce uznać odrodzenia narodowego. Kościół musi być dla Niemca zjednoczeniem wiernych zobowiązanych do walki o ideał chrześcijańskich Niemiec. Celem, do którego muszą dążyć chrześcijanie Niemcy jest niemiecki, ewangielicki kościół ogólno - krajowy. Państwo Adolfa Hitlera dąży do takiego kościoła. Kościół powinien usłyszeć ten zew".

ANGIELSCY ROBÓTKOWICZE

Na otwartej ostatnio w Londynie przez kuzynkę królewską Lady Patrycję Ramsay dorocznej wystawie „Prac kobiecych", sensację wywołały eksponaty nadesłane przez... mężczyzn. Książę Walji nadesłał chusteczki do nosa — własnego wyrobu, zięć królewski, Lord Harewood, całą kolekcję haftów własnoręcznych, Aktor Ernest Thesiger — serwetę. Wśród „męskich robót" wyróżniły się pozatem prace: — barona Gainsford'a, znakomitego przemysłowca i właściciela wielu kopalń, wice hrabiego Ennismore, lorda Carmichael'a i Harry Hoare — dyrektora potężnej instyucji bankowej. Zapytani przez dziennikarzy o przyczyny tej „zmowy robótkowej", męscy eksponatorzy prac kobiecych odparli, iż robótki są doskonałym środkiem na wszelkiego rodzaju zmartwienia, gdyż „zapomina się przy igle, szydełku i drutach o wszystkiem, co nie dotyczy bezpośrednio tego kobiecego rzemiosła". „Przykrości i tutaj się zdarzają, są jednak takie małe w porównaniu z kryzysem gospodarczym i międzynarodową sytuacją polityczną!... Zresztą można po niejakim czasie, dzięki wprawie i skupieniu uwagi uniknąć tych tak drobnych zmartwień, jak nierówny ścieg, czy zgubione oczko!"

Z pośród męskich entuzjastów robótek, jedynie książę Walji uprawia ten najnowszy „sport" od dawna, a także wicehrabia Ennismore nauczył się haftu przed kryzysem gospodarczym i tworzy swe szydełkowe arcydzieła wcale nie dla odgonienia zmartwień, lecz w celu wzmożenia w sobie równowagi i przytomności umysłu, w czasie polowań na słonie i tygrysy. Reszta męskich uczestników wystawy „Prac kobiecych" zwróciła się do robótek z przyczyn natury... gospodarczo - politycznej.

Z tych samych przyczyn ludzie „inni", cierpią głód, chłód i bezdomność. Ucieczka angielskiej „elity", świadczy wymownie, iż z jednej strony możnowładcy brytyjscy pełni są poczucia bezpieczeństwa, mimo groźnych oznak sytuacji gospodarczo - politycznej, z drugiej zaś strony, że nie martwią się zbytnio ani bezrobociem, ani nędzą miljonów.

KRYZYS W SZKOLNICTWIE ANGIELSKIEM

W Anglji dzisiejszej słabną w szybkiem tempie dawne różnice społeczne, które dotychczas opierały się skutecznie postępującej zwolna demokratyzacji społeczeństwa. Współczesny kryzys gospodarczy przejawia się w Anglji nietylko w bezrobociu i nędzy szerokich mas proletarjatu, lecz także w zubożeniu klas posiadających. Najlepszym tego dowodem jest katastrofalne położenie słynnych *„Public Schools"*, zakładów wychowawczych o wspaniałej wielowiekowej przeszłości, do których uczęszczała tylko młodzież szlachecka i w których wykluwała się niezmiennie elita umysłowa szeregu pokoleń.

Zubożenie warstw posiadających, uniemożliwia posyłanie dzieci do *„Public Schools"*, — sprawia, że te zakłady naukowe stają się niedostępnym luksusem dla wielu rodzin, a zrezygnowanie z tego luksusu — tragedją. Jeśli wziąć pod uwagę instynktowną cześć, jaką „rodowy" Anglik darzy zwyczaje uświęcone tradycją, wówczas pojmiemy, że nie będzie w tem żadnej przesady, jeśli taki Anglik nazwie tra-

gedją niemożność posyłania dziecka do tej szkoły, w której kształcili się jego przodkowie.

Nie znaczy to jednak, by pozostałe zakłady naukowe (nie dla elity) odznaczały się dużo niższym poziomem od nprz. tysiącletniej *„Public Schools"* w Canterbury, czy pięćsetletniej w Eton. W licznych szkołach nowoczesnych, przeznaczonych dla najszerszych warstw młodzieży brak wprawdzie tego dostojeństwa i „arystokratycznych metod wychowania", jakie cechują luksusowe *„Public Schols"*, niemniej jednak „szkoła dla tłumu" jest nietylko tania, lecz i pożyteczna, gdyż kwitnie w niej kult wychowania zawodowego, a także kształci ona nietylko umysł, lecz również rozwija „zdolność życia", umiejętność walki o byt.

Mimo przepełnienia zarówno burs, jak i szkół nowoczesnych, położenie ich jest równie katastrofalne, jak i arystokratycznych „Public Schools", które świecą pustkami. W samym Londynie 40% uczącej się młodzieży zostało zwolnione ze wszelkich opłat szkolnych i bursowych, a na prowincji liczba „darmowych" przedstawia się jeszcze groźniej. Zarówno „London County Council", jak i poszczególne gminy wyznaniowe gonią resztkami funduszów, a tymczasem rady rodzicielskie domagają się coraz większych ulg, lub całkowitego zwolnienia od opłat szkolnych, już nie dla 40% „wyjątków", lecz dla ogółu uczącej się młodzieży. Przeprowadzona niedawno ankieta wykazała, iż zaledwie w 5,3% zbadanych rodzin, budżet domowy, bez uszczerbku dla innych koniecznych wydatków, może pokryć tę tak doniosłą pozycję, jak — kształcenie dziecka w szkole najtańszej...

GŁÓD NA WĘGRZECH

Budapesztański dziennik „Neprzawa" przytacza jako przykład tragicznych stosunków, panujących na wsi węgierskiej, wieś Gyulavar. „Wieś ta rozciąga się na obszarze 11.000 mórg, ale z tej liczby 9.200 morgów należy do obszarnika hr. Almaszy, 300 zaś — do gminy. Do dyspozycji 4.500 mieszkańców pozostaje zatem 1.800 morgów.

Już te cyfry dają same przez się wystarczające pojęcie o sytuacji w Gyulavar. Na początku zimy pozostawało we wsi bez chleba i bez pracy 303 rodziny. W marcu r. b. liczba rodzin cierpiących głód, pozbawionych zupełnie środków utrzymania dosięgła 70%".

Głód w kraju, słynącym oddawna z nadmiaru produktów rolnych i urodzajnej gleby!

KRYZYS KRZEPI GRUŹLICĘ...

W Czechosłowacji przeprowadziła komisja lekarska ankietę w okręgach przemysłowych na Morawach, w celu stwierdzenia związku między rozwojem kryzysu gospodarczego, a postępami gruźlicy śród ludności robotniczej.

Oto wyniki:

W gminie Bytes śmiertelność na gruźlicę wzrosła od r. 1930 do r. 1932 z 7,4% do 11% (na każde 100 zgonów), w gminie Krumlow wzrost wyniósł za ten sam czas od 14.7% do 17.1%, w gminie Slavonice od 6.5% do 9.9%, w gminie Telc od 11% do 14.2%, w gminie Znaim od 13.4% do 16.7%, w gminie Blansko od 15.9% do 19.1%, i t. d. i t. d.

Tak, kryzys krzepi gruźlicę...

DOŚĆ TEJ MĘKI!

Z końcem każdego roku szkolnego rozgrywa się cały szereg czasem cichych i nieznanych, a czasem głośnych, nieraz aż krzyczących dramatów i tragedyj. *Dramatis personae* — to młodzież szkolna, dla której wiosna każdego roku jest porą rozrachunków za jej pracę. Promocje z klasy do klasy i świadectwa dojrzałości jako rezultat odbytych egzaminów maturalnych — to tło, na którem zaciska się węzeł dramatu.

Mamy na myśli przedewszystkiem proces egzaminów dojrzałości; on jest tą główną przyczyną tragedyj, jemu też poświęca się rok rocznie wiele uwagi, z nim toczy się już od szeregu lat walka.

Chcąc oświetlić należycie zagadnienie egzaminów dojrzałości, ich wartość i celowość — trzeba postawić sobie dwa zasadnicze pytania: 1) co to jest ten egzamin? i 2) komu i na co jest on potrzebny?

Teoretycznie rzeczy rozpatrując, egzamin maturalny należałoby uważać — jak każdy inny — za sprawdzian postępów, poczynionych przez ucznia podczas jego pobytu w szkole; miałby dalej egzamin ten zaświadczyć o sprawności umysłowej, o zasobie wiedzy, o wyrobieniu życiowem, o przygotowaniu do dalszych samodzielnych (wyższych) studjów egzaminowanego. Ale że takie pojmowanie egzaminów maturalnych jest tylko teorją, od której aż nazbyt daleko odbiegła praktyka życiowa — o tem wiedzą znakomicie ci wszyscy, którzy z owym egzaminem mieli kiedykolwiek do czynienia, bądź jako egzaminujący, bądź też egzaminowani.

Pokolenie starsze pamięta, jak to podczas takiego egzaminu wyciągało się bilety (niczem na loterji) i jak to od łuta szczęścia, nie od funta rozumu, zależał wynik operacji egzaminacyjnej. Pokolenie dzisiejsze nie ma już do czynienia z loteryjnem wyciąganiem losów, ale mimo to wie również, że — w innej postaci — los decyduje w znacznej większości wypadków. Ale, gdyby nawet zostawić na boku egzaminacyjne igraszki fortuny — to przecież nie trudno o argumenty, przemawiające zupełnie wyraźnie przeciw — *sit venia verbo* — „idei" egzaminów maturalnych.

Kto u kogo sprawdza postępy w nauce, zasoby wiedzy, sprawność etc. etc.? — Nauczyciel u swego ucznia. Ten sam nauczyciel, który *przez szereg lat* miał do czynienia z tym samym uczniem. Przez ten szereg lat zdążył wychowanka swego poznać aż nadto dobrze i wszechstronnie. wyrobił sobie nie dorywczy i powierzchowny, ale na gruntownej obserwacji i znajomości rzeczy oparty sąd o uczniu. Czy wobec tego jedna, *ostatnia*, podczas egzaminu wykonana praca piśmienna, czy jedna, ostatnia, kwadrans trwająca rozmowa z uczniem podczas egzaminu ustnego może zmienić i obalić przez lata wyrabiany sąd o uczniu? Czy przypadkowe potknięcie się ucznia dobrego w opałach egzaminacyjnych może zachwiać długoletnią opinją nauczyciela o uczniu? I czy jest do pomyślenia, by uczeń dobry, dopuszczony do egzaminu ostatecznego mógł go nie zdać i by uczeń zły mógł być do takiego egzaminu dopuszczony? Bezcelowość zabiegu egzaminacyjnego zdaje się być aż nadto wyraźna. Nie można go uważać za miarę, którą możnaby zmierzyć dojrzałość.

Egzaminy maturalne wytwarzają (bo wytwarzać muszą) atmosferę niecodzienną i niezdrową. Żeby

nawet usunąć wszelkie praktykowane zazwyczaj podczas tych egzaminów dekoracje, wszelkie zielone sukna na wielkich stołach, namaszczone miny trybunału egzaminacyjnego i t. p. nieznane uczniowi efekty podczas zwykłej pracy szkolnej, to i tak jeszcze niezdrowego nastroju niecodzienności uniknąć się nie da. Bo uczeń wie i czuje, że — z suknem czy bez sukna — staje przed „sądem ostatecznym" i że od wyroku tego sądu, nie od rezultatów i oceny jego wieloletniej pracy w szkole zawisła jego przyszłość. Wie i czuje, że decydować tu będzie chwila: nie lata starań i wysiłków we wszystkich klasach, ale chwila popisu przy końcu klasy ostatniej. Czy utwierdzanie ucznia w takiem przekonaniu może być uważane za rozumne?

Czy młodzież może być nieczuła na taką chwilę osobliwą? Czyż może nie reagować na nią? Na te pytania znajdujemy odpowiedź w pracy prof. uniwersytetu krakowskiego, Stefana Szumana, wydrukowanej w tomie V-tym „Polskiego Archiwum Psychologji", zatytułowanej: „Badania nad wzruszeniem egzaminowem i jego wpływem na sprawność umysłową w czasie egzaminu". Przyśpieszenie tętna, wahania i skoki pulsu, cukromocz, specjalne zaburzenia u dziewcząt — oto rezultaty „nastrojów" egzaminacyjnych, uwidocznione i stwierdzone niezbicie przez badacza. Robi przytem prof. Szuman ciekawą a ważną uwagę: „Niema żadnej współzależności między szybkością tętna w czasie egzaminu ustnego, a dobrem względnie złem przygotowaniem do egzaminu. Uczniowie celujący mają przeciętnie tak samo przyśpieszony puls jak uczniowie słabi". Czyli — inaczej mówiąc — psychoza egzaminacyjna jest zjawiskiem ogólnem, nieuniknionem.

To chyba stanowi mocny argument przeciw egzaminom maturalnym.

A teraz drugie pytanie: komu i na co jest ten egzamin potrzebny?

Jak zaznaczyliśmy, nauczycielowi, który ucznia swego poznał i zna dobrze, egzamin taki jest niepotrzebny zupełnie.

A prawda — potrzebny jest koniecznie do wydania papieru, na którym komisja egzaminacyjna stwierdza, że abiturjent danej szkoły średniej uznany został za dojrzałego i przygotowanego do dalszych studjów w uczelniach wyższych. Mój Boże! Więc dojrzałość mierzy się popisem jednorazowym? Więc o tej dojrzałości ma świadczyć nie współpracująca długie lata rada pedagogiczna szkoły, ale *ad hoc* zwołana komisja egzaminacyjna? Skądże taki brak zaufania do rad pedagogicznych i skąd takie przywileje dla komisyj egzaminacyjnych?

A może ów egzamin maturalny potrzebny jest wyższym uczelniom, które przywiązują wagę jedynie do orzeczenia komisyj egzaminacyjnych, nie rad pedagogicznych? Tak bynajmniej nie jest. Nie stanowi to żadnej tajemnicy, że wyższe uczelnie zgoła nie mają zaufania do świadectw dojrzałości, wydawanych przez szkoły średnie i urządzają na własną rękę egzaminy wstępne dla kandydatów. Można mieć maturę i nie dostać się zupełnie do uniwersytetu czy politechniki. W takim razie matura — czy będzie wydana przez radę pedagogiczną na podstawie oceny całokształtu pracy ucznia w szkole, czy przez komisję egzaminacyjną na podstawie egzaminu — wogóle dla wyższych uczelni wartości nie przedstawia.

Egzamin maturalny w istocie swej nie przedstawia żadnej wartości, nie jest żadną miarą dojrzałości i — jako szkodliwy — powinien być conajprędzej zniesiony.

Zygm. Michałowski

DROGI HITLERYZMU

W Roku Pańskim 1933, w centrum Europy, w jednem z najnowocześniejszych państw, nagle odżyło najciemniejsze średniowiecze. Terror hitlerowców stosowany w ramach organizacji państwowej Rzerzy Niemieckiej uderzył mocno nawet po przytępionych nerwach ludzkości i zadziwił świat, przywykły w ostatnich kilkunastu latach niejednemu widowisku przyglądać się bez zgrozy i zdumienia. Lecz nie to powinno przerażać i zadziwiać, że w ramach współczesnego ustroju państwowego i społecznego może się mieścić barbarzyńska i dzika etyka hitleryzmu, ale, że uzyskał on możność działania dzięki zgodzie miljonów obywateli Rzeszy Niemieckiej. Fakt ten pozbawia hitleryzm cech przypadkowej awantury i nadaje temu ruchowi podstawę, której korzenie tkwią w obecnym układzie sił społecznych.

W okresie rozwoju olbrzymich jednostek kapitalistycznych i jednocześnie rosnącej nędzy i bezrobocia wśród proletarjatu, w ogniu zaostrzonej walki, gdy świat wielkiego kapitału starł się w ostatniej rundzie ze światem pracy, jedna i druga strona gruntownie zlekceważyły istnienie warstw pośrednich. Warstwy te, wyzute ze swoich dotychczasowych placówek, zepchnięte ekonomicznie do szeregów proletarjatu i skazane w dobie obecnego kryzysu na powiększenie olbrzymich mas bezrobotnych, nie asymilują się jednak z proletarjatem i tkwią w indywidualistycznej psychologji swego poprzedniego stanu — średnio i drobnomieszczaństwa. Zmaltretowane przez rozwój wielkiego kapitału, zrzeszonego w koncerny, trusty, kartele i działającego z całą bezwzględnością zaślepienia i krótkowzrocznego egoizmu, odepchnięte przez ruch komunistyczny, nie znajdując realnych możliwości spełnienia swoich postulatów również i w szeregach socjal-demokracji, ogarnięte największą rozpaczą, odpychane i bite z jednej i drugiej strony, utworzyły ten grunt, na którym wyrósł współczesny faszyzm. Faszyzm jest to trzecia siła społeczna obok wielkiego kapitału i proletarjatu.

Powyższe przesłanki socjalne są jednakowe ważne zarówno dla zrozumienia mussolinizmu, jak hitleryzmu. Jeżeli powstaniu faszyzmu włoskiego — mimo wszystkie tego ruchu akty gwałtu — nie towarzyszyły objawy tak dalece posuniętego *masowego* terroru, brutalnego chamstwa i zezwierzęcenia, tłomaczyć to należy jedynie tem, że narodziny i przyjście do władzy mussolinizmu odbyły się w warunkach znacznie łatwiejszych. Oczywiście, dużą rolę odgrywa równie indywidualność wodza. Mussolini, posiadający znaczne wyrobienie polityczne, jako b. dziennikarz i działacz partji socjalistycznej, człowiek o nieprzeciętnym umyśle, był w stanie wywrzeć zupełnie inny wpływ na tłuszczę, którą potrafił opanować niemal od pierwszego momentu, niż Hitler, jednostka

bez żadnej przeszłości politycznej, żołdak, fanfaron i demagog o bardzo przeciętnej i powierzchownej umysłowości.

Pozatem, przy badaniu kwestji wspólnego podłoża faszyzmów włoskiego i niemieckiego, należy wziąć pod uwagę, że rok zwycięstwa faszyzmu włoskiego przypada na okres pomyślnej konjunktury powojennej, rok zwycięstwa Hitlera na okres najgłębszej depresji światowej, największego bezrobocia i nędzy mas. Faszyzm Mussoliniego powstał w kraju zwycięzców, faszyzm Hitlera w kraju zwyciężonym, uginającym się przez szereg lat pod olbrzymim ciężarem materjalnym i moralnym, nałożonym przez Traktat Wersalski, trzymającym w stanie najwyższego napięcia namiętności zwyciężonych i pragnienie odwetu.

Mieszczaństwo niemieckie i masy bezrobotnych, które znalazły zajęcie w szeregach bojówek hitlerowskich, poszły na lep radykalnych obiecanek Hitlera, który potrafił jednocześnie zjednać sobie niezbędne poparcie finansowe wielkiego kapitału, zalęknionego rosnącym wpływem partji komunistycznej i traktującego radykalne hasła Hitlera, jako trick reklamowy, mający utrwalić jego wpływ w masach.

Namiętności mas w Niemczech są rozbudzone w znacznie większym stopniu, niż to w swoim czasie miało miejsce we Włoszech i sytuacja Hitlera jest o wiele trudniejsza, niż Mussoliniego w pierwszym okresie dojścia do władzy. Masy domagać się będą od Hitlera spełnienia jego obietnic. Z pod wpływów swoich opiekunów, ze strony wielkiej finansjery i przemysłu Hitler wyzwolił się brutalnie i zdecydowanie. Masom narazie daje stary wypróbowany środek do wyładowywania się — pogromy żydowskie. Środek ten na długo nie starczy. Hitler będzie miał przed sobą dwie ewentualności: spróbować przeciwstawić się omamionym przez niego fantastycznemi obietnicami masom, narażając się na utratę władzy, a kraj na anarchję i wojnę domową, lub też — skierować uwagę mas na zewnątrz, przez co Niemcy staną się promotorem rozpoczęcia nowej ery w polityce międzynarodowej, ery awanturniczej i groźnej, której wynikiem będzie nieunikniona w najbliższej przyszłości wojna, zamęt i anarchja w całej Europie.

Zrozumienie i należyta ocena tej ewentualności — to sprawa niezmiernej wagi dla cywilizowanego świata.

J. K.

Kto chce przyczynić się do rozwoju niezależnego i poważnego tygodnika, powinien przysparzać prenumeratorów „Epoce”

ZA TO MU PŁACĄ...

O pracy nauczyciela szkoły powszechnej.

Praca nauczyciela tem różni się od wielu innych, że w niej człowiek i tylko człowiek, jego najgłębsze wartości duchowie, wiara w celowość posłannictwa, wiara w człowieka, oraz postawa moralna wobec zagadnień i zjawisk życia — decydują o rezultatach działania. I gdy w innych zawodach, wszelka praca da się zmierzyć sumą pewnych zobowiązań i doraźnych efektów — pracy nauczyciela w ten sposób zmierzyć nie można. Nie ogranicza się ona w czasie, nie da się ująć w cyfry statystyczne, a jej efekty widoczne są dopiero po wielu latach, jako zjawisko podnoszenia się kultury narodu.

Dlatego praca ta, mająca wiele wspólnych cech z pracą artysty, ma swoiste wymagania, swoistą psychikę i powinna mieć odrębne, swoiste kryterja oceny.

Gdy porównujemy wymagania stawiane nauczycielowi przez władze i społeczeństwo z warunkami, wśród których on te wymagania ma realizować, — uderza nas olbrzymia dysproporcja.

Nauczyciel musi nauczać i wychowywać tyle dzieci, ile zmieścić tylko zdoła izba, przeznaczona na warsztat jego pracy. Musi nauczać według najnowszych zdobyczy wiedzy pedagogicznej. Pozatem musi poprawić dziennie około 100 wypracowań piśmiennych dzieci, przygotować się do lekcyj, wyszukać lub wykonać pomoce naukowe, załatwić szereg prac biurowych i administracyjnych, dbać o higjenę dzieci i szkoły, gdy zazwyczaj nie ma pieniędzy na opłacenie kogoś, ktoby salę szkolną zamiótł i t. p. i t. p. Ponadto powinien zakładać i prowadzić stowarzyszenia młodzieży, kursy wieczorowe, przysposobienie wojskowe, urządzać imprezy i uroczystości — słowem, musi i powinien być filarem i krzewicielem kultury w środowisku swej pracy.

Do tego zakresu obowiązków dochodzą jeszcze zbiórki na najrozmaitsze cele i instytucje, no i kursy wakacyjne i niewakacyjne, urzędowe i nieurzędowe, o najrozmaitszym charakterze.

I wątły ten, o zapadłych piersiach, nieraz krwią plujący człowieczek z zadziwiającą odwagą, uporem i siłą ducha zbiera na barki swe wszystkie te obowiązki.

Lecz biada mu, gdyby się załamał. Spadną na niego gromy ze strony ludzi powołanych i niepowołanych. Jakto?! Nie uzyskał tego?! Dlaczego?! Przecież on od tego jest! *Za to mu płacą!*

Nie wolno więc nauczycielowi chorować choćby ostatkiem płuc oddychał, bo czeka go komisja lekarska! I jeśli przepracował lat 15, dostanie głodową emeryturę, jeśli mniej, a nie przyznają mu brakujących lat — pójdzie na bruk. Jedno i drugie jest równoznaczne z powolnem konaniem. (Lotnikom wojskowym służbę liczy się podwójnie, ze względu na niebezpieczeństwo śmierci lub kalectwa, nauczycielowi, ze względu na niebezpieczeństwo gruźlicy... odlicza się każdy dzień urlopu).

Niewolno mu narzekać na pobory za niskie, aby żyć, zbyt wysokie by umrzeć.

To, że mieszka i pracuje w warunkach lokalowych nieraz fatalnych, a zawsze pozostających poniżej minimum wymogów człowieka inteligentnego — przecież to „prosta konieczność" i na wsiach niema „pałaców", a w miastach... warunki mieszkaniowe cięż-

kie, a samorządy nie mogą płacić wysokich dodatków mieszkaniowych (15 zł. miesięcznie samotny, 28 zł. — z rodziną).

Że jest odcięty od środowisk kultury, że kilkanaście kilometrów dzieli go od najbliższej stacji kolejowej, poczty i miasteczka — głupstwo! Każdy kandydat do zawodu nauczycielskiego wiedzieć powinien, że idzie do żmudnej, ciężkiej, lecz zaszczytnej pracy wychowawcy narodu.

Lecz wszystkie te bolączki zawodu nauczycielskiego nie są jeszcze tragedją. Nie jest tragedją nawet to, że za jajka i masło płacić trzeba na wsi podwójną cenę, a po środki żywności trzeba iść lub jechać do odległego miasteczka, z braku czasu tylko w niedzielę, by „od tyłu", w marnym sklepiku coś kupić.

Nauczyciel jest „żołnierzem oświaty" i jak każdy żołnierz świadomy wartości zwycięstwa umie ofiary ponosić.

Tragedją natomiast jest strona moralna pracy nauczyciela. Ona łamie i ona tworzy gehennę tych ludzi, rozrzuconych po tysiącach wsi, miast i miasteczek, pozostawianych w dosłownem tego słowa znaczeniu, na pastwę losu.

Duszę twardą i silną urobić ma w narodzie nauczyciel, człowieka wychować, któryby świadom swych praw i obowiązków, świadom swego człowieczeństwa, lepsze Jutro budował. Uczynić to może ktoś, kto sam za wzór służy. Wolny, w wolnej Rzeczypospolitej wychowawca narodu. Jeżeli nie godzien jest, by naród w lepsze Jutro wiódł — wyrzucić go. Lecz gdy godność swą piastuje — niech ma zaufanie i wiarę, że do zadania, jakie spełnia, dorósł całkowicie.

Tymczasem... Nawet władze szkolne wszystkich stopni, — mniejsza z tem, czy świadomie, czy nieświadomie — idą w tym kierunku, by z nauczyciela uczynić urzędniczynę lichszego gatunku, uległego, czułego na kiwnięcie tego, czy innego dygnitarza, zależnego, podejrzanego, dozorowanego na każdym kroku — jakiegoś manekina. Dominuje dążność, by pracę nauczyciela oprzeć na strachu i zależności.

A szkoła musi żyć i życiem tętnić. A żyć będzie wtedy, gdy żywy człowiek w nią wejdzie.

Załamała się w naszym systemie szkolnym wiara w człowieka i jego wartości moralne. Jest to fakt, który jest tragedją szkoły i nauczyciela.

Kiedyś, dawno, przylgnęła do nauczyciela nazwa „belfer". Charakteryzuje ona najdobitniej uczucia społeczeństwa dla „wychowawcy narodu". Jest to taki sobie „ktoś", komu z przymusu, czy dobrej woli, powierza się dziecko na kilka godzin dziennie. Niech urywa sobie z niemi głowę, wychowuje, niańczy, i do domu z niczem się nie zwraca. Za to mu przecież płacą....

Zwłaszcza na wsi, gdzie odczucie potrzeby oświaty ma wyraz nieco odmienny, bardziej swoisty, nauczyciel jest często wrogiem, a niemal zawsze człowiekiem z innego świata, nasłanym, płatnym urzędnikiem — kimś obcym. Nawet jeśli sam z ludu ród swój wywodzi, bo wtedy „udaje", by „łatwiej chłopa otumanić".

Intruz ten zabiera z domu dziecko, gdy ono potrzebne jest do posług gospodarskich i domowych. On powoduje kary za nieregularne uczęszczanie dziecka do szkoły. On wymaga książek, zeszytów, a nawet papierków kolorowych i innych niepotrzebnych zabawek, wymaga, by dziecko było umyte i czysto ubrane. Jest człowiekiem, który burzy odwieczny porządek rzeczy, zwiększa obowiązki i wydatki. I za to wszystko jeszcze mu płacą... z krwawicy społecznej, z podatków.

Indywidualność silniejsza w warunkach tych zmaga się zwycięsko i z czasem cel osiąga, przerabia środowisko. Indywidualności słabsze natomiast, albo załamują się i tracą wiarę w celowość swej pracy, albo... stają się łupem gruźlicy.

I to jest druga tragedja zawodu nauczycielskiego, — ów dziwnie niechętny, czasami wrogi, a zawsze niemal niewłaściwy stosunek społeczeństwa do niego i jego pracy.

Nieraz słyszy się zdanie, nawet z ust przedstawicieli władz szkolnych, że stosunek ten istnieje z winy nauczycielstwa, że ono powinno zbliżyć społeczeństwo do siebie, pozyskać je, usposobić przychylnie i t. d. i t. d. Jest w tem wiele słuszności i nauczycielstwo w tym duchu pracuje. Ale jest to wysiłek jednostronny i dlatego na jego rezultaty długo czekać trzeba. Są one już tu i ówdzie widoczne i napawają otuchą.

Ale dalecy jeszcze jesteśmy od sympatycznego nastawienia psychiki społecznej do osoby wychowawcy, człowieka, któremu przecież powierza się „rząd dusz".

Czasem tylko, w dniu uroczystym, padną pod adresem nauczycielstwa słowa uznania, ciepłe, serdeczne. Ale są to słowa... od święta. A w powszedni, szary dzień — żmudną, ciężką, twardą i niewdzięczną jest praca nauczyciela.

Ale trudno... Za to mu płacą...

Aleksander Rawski

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

POWIEŚĆ O MOCNYM CZŁOWIEKU*)

Juljusz Kaden - Bandrowski, piorący publicznie brudy rodzinne Mieniewskich, czy Bigdów, wprowadzający w dziedzinę „prawdy historycznej", tak nieuchwytne czynniki, jak życie erotyczne Deptuły, Strzęgorza, czy Ordynata Lachowskiego, otrzymuje niezawsze takie wyniki, jakie sobie zamyślił i postanowił „programowo" przeprowadzić. Popatrzmy dla przykładu na samego Bigdę: *miał być* jakowymś Pochroniem polskiego sejmowładstwa i wiele przemawia za tem, iż *jest* on takim w przekonaniu autora, — w powieści natomiast jest kimś jeszcze innym, przerasta Bigdę — karjerowicza wzbogaconego niecnie na wojnie, przerasta Bigdę, krętacza partyjnego, a staje się jakimś zoologicznym wzorem wodza ludzkiej gromady. Na przykładzie Mateusza Bigdy, może nieświadomie, ale jasno i wymownie ukazuje nam Kaden — jakim powinien być taki wódz i dzięki czemu zwycięża. Tą po mistrzowsku przeprowadzoną psychologiczną analizą wodza, Kaden, ukazał nam człowieka czynu, tworzącego dokoła siebie „nową rzecz", nie dzięki sprzyjającym okolicznościom zewnętrznym, ale przedewszystkiem dzięki swej wewnętrznej mocy twórczej, — ukazał nam „mocnego człowieka".

Ostatnio wzięli się pisarze gromadniej, niż przedtem do odtworzenia trudnej psychy męskiej, z czego powstał w literaturze światowej cały szereg t. zw. „mocnych ludzi". Ażeby swych bohaterów umocnić,

*) Juljusz Kaden - Bandrowski: „Mateusz Biga" („Grunt", „Masło", „Śpiżarnia"). Tow. Wyd. „Rój". Warszawa 1933 r.

podobierali im autorzy „mocne" zajęcia. Stąd też mamy inżynierów cały huk, bandytów i robotników, wojaków, rewolucjonistów, mężnych lekarzy. Wszystko to — flakowata lub papierowa, zakłamana, literacka, pozerska i pięknoduszkowa pentakerja, wobec wspaniałego „męskiego wnętrza" Mateusza Bigdy.

Mocny człowiek ostatnich powieści Kadena czerpie swą moc z nader rozlicznych źródeł. Tak więc przedewszystkiem z tego, że jest chłopem. Należy Kaden - Bandrowskiemu postawić nie jako zarzut, lecz zaletę, znamienny fakt, iż tytułowy bohater powieści ani w jednym rozdziale nie jest przedstawiony na tle swej wsi rodzinnej, lecz obraca się przedewszystkiem pośród ludzi miejskich, — zyskuje na tem jego rasowo chłopska siła, gdyż w środowisku mniej lub więcej „zgniłych inteligentów" tem surowiej, tem brutalniej, a zarazem bardziej „męsko" zarysowuje się chłopska postać i chamska manjera Bigdy.

Drugie źródło to sejm, jako fach Bigdy, — sejmowa polityka. Karjerowiczowstwu Mateusza nie przeciwstawia Kaden - Bandrowski uczciwych, czyli bezinteresownych i szlachetnych polityków, to też Bigda różni się od innych posłów jedynie stopniem „mądrości". Przeciwko zwycięstwom Bigdy czytelnik nie protestuje, lecz podziwia je i co więcej — rozumie, staje się w tym harmiderze sejmowych matactw stronnikiem Bigdy, gdyż w jego rękach widzi słuszność, którą dla Kadena stanowi — siła. Po przeczytaniu książki zostaje wrażenie, że jak stolarz musi w drzewie robić, a szewc w skórze, tak samo zawodowy polityk *musi* we wszelakich drań每stwach się babrać, — nie może inaczej. Znowu na plan pierwszy Bigda się wysuwa, który te rzeczy robi najumiejętniej czyli, że jest... najlepszym z posłów, — najmocniejszym.

Nie będzie żadnej przesady, gdy się powie, że dwie trzecie objętości ostatnich trzech tomów Kadena — to opis stanów psychicznych, i że ten opis — to właściwy smak całej książki. Pracowicie wywalczane zwycięstwa Mateusza Bigdy obserwujemy, że tak powiem, od strony podszewki, od wewnątrz, w psychice chłopskiego wodza. Walki sejmowe i konflikty ukazuje nam autor w mistrzowsko wyczutem „intuicyjnem życiu" Bigdy, w jego ostrożności najgłębszej, w jego „przeczekiwaniu" wypadków i odczuwaniu atmosfery korzystnej dla podjęcia czynnego ataku. Cała metereologja psychiczna wodza, cała genjalność jego taktyki, złożona, a prosta zarazem „maszynerja mocy twórczej", psychiczny podkład tego, co nazywamy postawą, czy aktorstwem „niezwykłego człowieka" — oto teren, na jakim artyzm Juljusza Kaden-Bandrowskiego święci triumf największy.

Jak w większości utworów Kadena, taksamo i tutaj „ciężar wartości" wykazuje nie konstrukcja akcji powieściowej, lecz budowa postaci i to wyłącznie postaci męskich. Obok Mateusza Bigdy prawdziwym majstersztykiem jest Deptuła, Strzęgorz, Mieniewski i inni, a zwłaszcza wzajemne boje tych bohaterów powieści, boje „męskie", okrutne i brutalne, chociaż słowne tylko, „sejmowe". Obserwujemy z niekłamanym podziwem, jak tworzy się każde zdanie, każde słowo tych „rozmów", podobne do towaru, który musiał wprzódy przejść przez piece, chłodnie i prasy rozlicznych maszyn fabrycznych, zanim się stał gotowym, takim a nie innym produktem. Zwiedzamy przy rozmowach Bigdy i Deptuły, Deptuły i Strzęgorza, Bigdy i Mieniewskiego całe hale takich fabryk psychicznych, gdzie się tworzy ostry jak szabla i celny jak strzał oręż słowny.

Ukazując w postaciach inwalidów wojennych, Chybacza i Tylko, nędzę i poniżenie byłych obrońców ojczyzny, w ten właśnie sposób wprowadza autor czytelnika w ewentualny ciąg dalszy swych niedokończonych powieści, — w tragiczny koniec karjery Mateusza Bigdy, pokonanego przez generała Barcza, a zarazem w początek... karjery Nikodema Dyzmy... Narazie kończy się ostatnia z powieści walnem zwycięstwem Mateusza, czyli opartą na „pakcie Lachowskim" większością sejmową, zapewniającą Bigdzie ster rządów państwem.

Przyszli wydawcy „Gruntu", „Masła" i „Śpiżarni", uzupełnią zapewne „Mateusza Bigdę", nowemi tomami przypisków i odnośników, które pozwolą nam w pełni podziwiać talent Kadena, lub marszczyć się, a nawet krzywić nad jego niezgodnościami z prawdą historyczną.

Jerzy Kornacki

URATOWANY TRUD MYŚLI

Są czasem książki, jak promień słońca po wielu dniach pochmurnych. Radują, jak dawno niewidziane oblicze kogoś bardzo drogiego, a radość ta zaciera w mgnieniu oka przestrzeń czasu, dzielącą od ostatniego widzenia. Taką np. książką była niedawno Żeromskiego „Dziennik podróży", taką też jest dla mnie wydana w tych dniach „Psycholog a Religji" J. W. Dawida*). Przeczytawszy nazwisko autora, narazie nie mogłem zrozumieć, skąd wzięła się ona wśród nowości na wystawie księgarskiej. Skąd wzięła się nowa praca człowieka, który zmarł 20 lat temu? Ale sam widok jej wyzwolił falę wspomnień z odległej mojej, wczesnej młodości, przerywając tamę długiego czasu, całych dziesiątków lat minionych.

Wspomnienia te wiążą się z okresem wysokiego napięcia ideowego, z pulsującem życiem społecznem, literackiem, naukowem i artystycznem. Wiążą się z bogatym światem myśli i ducha ówczesnej inteligencji. Łączą się z czasem rozkwitu i powodzenia wielkiej twórczości literackiej i publicystyki polskiej, której przodowała wówczas „Prawda", „Głos", „Ateneum", „Krytyka", „Ogniwo", „Chimera" i t. d. Kiedy każdy świeży ich numer przynosił nowe zagadnienia, zapalał nowe światła spraw bieżących lub sygnalizował nowe szkoły, kierunki i prądy, kiedy inteligencja stanowiła liczne audytorjum czytelników, którzy skupiali się wokół swoich ulubionych autorów i pism, biorąc niemal bezpośredni udział zarówno w radościach, tryumfach, jak troskach i klęskach redakcji. Pamiętam np., jak głęboko przeżyłem szarżę kawaleryjską Młodej Polski na łamach „Głosu" J. Wł. Dawida, w której brali udział ludzie tej miary co St. Brzozowski, W. Nałkowski, St. Przybyszewski. I właśnie nazwisko Dawida poruszyło tę urnę z popiołami wspomnień, kryjących cienie tych wielkich i drogich zmarłych. W takim nastroju przeczytałem obszerny wstęp, poprzedzajacy „Psychologię Religji". Jest to życiorys J. Wł. Dawida, napisany przez Henryka Lukreca. Skromnie powiedziane jest w nagłówku, że autor tylko skreślił bio-

*) „Psychologja Religji" J. Wł. Dawida, z portretem autora i życiorysem, skreślonym przez Henryka Lukreca. Nakładem „Naszej Księgarni", Związku Nauczycielstwa Polskiego. Warszawa 1933.

grafję Dawida. Ale mnie się wydaje, i myślę, że za wiele nie powiem, jeśli tu stwierdzę, że to nie jest sylwetka, ale doskonała rzeźba postaci Dawida, wykonana nietylko ze znawstwem rzeczy, ale i z głębokiem odczuciem. Oprócz środków intelektualnych, które pozwoliły ogarnąć skomplikowaną i rzadką organizację psychiczną Dawida, — widać czułe narzędzie, którego użył do rzeźby tej Lukrec w postaci swego tkliwego uczucia, żywionego widocznie mocno dla autora „Inteligencji". Nie mogę nie podkreślić melodyjnego stylu Lukreca, którym pisząc o Dawidzie, przemawia do duszy czytelnika, jakkolwiek nie miał na warsztacie utworu literackiego, ale życiorys uczonego. Dzięki temu pewnie, biografja J. Wł. Dawida nic niema z suchości szablonu, a sama postać duchowa wielkiego psychologa występuje w formie wysoce plastycznej i żywej. Widzę tylko pewną lukę w biografji Dawida, a raczej niedostateczne wycieniowanie postaci jego żony, która, jak widać, odegrała tak ważną rolę w losie Dawida i której śmierć stała się przyczyną życiowej i duchowej tragedji autora „Psychologji Religji". Może p. Henryk Lukrec, jeżeli jeszcze dzielić się będzie swojemi wspomnieniami — zwróci uwagę na to niedociągnięcie i wzmocni oświetlenie postaci Jadwigi Szczawińskiej - Dawidowej, która przecież oprócz wszystkiego odegrała pewną rolę w ruchu społecznym i umysłowym Warszawy na progu naszego stulecia.

„Psychologja Religji" jest rozprawą czysto teoretyczną. Sam przedmiot badania jako część psychologji ogólnej podlega nauce empirycznej. Dawid też posługuje się metodami badania współczesnej psychologji z pewnemi, rzecz prosta, ograniczeniami, które zakreśla natura samego przedmiotu, t. j. strona subjektywna religijnego życia człowieka. Mistrzostwo władania temi metodami Dawid wykazał już w swoich licznych pracach psychologicznych, nad tem więc w związku z „Psychologją Religji" niema potrzeby szeroko się rozwodzić.

J. Wł. Dawid z głęboką przenikliwością, w sposób zwarty, przystępny i jasny odsłania z psychologicznego punktu widzenia wewnętrzną stronę religji. Gromadzenie doświadczeń życia religijnego, oraz poglądów i potrzeb religijnych, badanych drogą specjalnej i własnej ankiety, oraz niezmiernie bogaty materjał historyczno - biograficzny pozwoliły Dawidowi na jasne określenie i oświetlenie różnych typów religijnych: uczuciowego, aktywnego i intelektualnego. W rozdziale, poświęconym postaci stanów religijnych, którą wyróżnia przewaga intelektualnych, skłonności do uzasadnienia uczuciowych dążności i oparcia ich o cudze doświadczenia, objawienia, autorytety, — Dawid niezmiernie głęboko analizuje religijny typ umysłowy, który np. historyczny i klasyczny swój wyraz posiada w katolicyzmie. Ciekawe bardzo stronice poświęcił Dawid „nawróceniom" wybitnych ludzi typu intelektualnego w życiu religijnem, jak np. profesora historji w Halli, Alfreda de Rouville, który szukając trwałej ostoi dla zbyt nikłych własnych doświadczeń przyjął katolicyzm, lub bliżej nas obchodzących przedstawicieli tego typu: Wincentego Lutosławskiego i Stanisława Brzozowskiego, którego potrzeby religijne Dawid poddaje drobiazgowej analizie.

Nie mniej ciekawy jest rozdział, dotyczący intensywnych i przełomowych doświadczeń stanów mistycznych, które Dawid kwalifikuje jako pewien proces życia, a nie jako przedmioty sądzenia, wyobrażenia lub pojmowania. Według Dawida, i to się zgadza zupełnie z oświetleniem, danem przez Henryka Lukreca w biografji jego, — mistycyzm, który nie jest przeżywany, jest poetyckością, albo wprost kabotynizmem lub rodzajem aktorstwa. Dla Dawida zaś, i to jest charakterystyczny dla ewolucji duchowej tego wielkiego pozytywisty i empiryka, — proces, który stanowi istotę życia mistycznego, jest rozwinięciem i doprowadzeniem do ostatecznych konsekwencyj procesu „odrodzenia".

Całą książkę cechuje wielka powaga, objektywizm naukowy i takt, którym kieruje się Dawid w swych rozstrząsaniach religijnych.

Miałbym pewne zastrzeżenia co do układu materjału i anegdotycznego charakteru niektórych stronic w książce, ale to są drobiazgi, które znajdują swoje usprawiedliwienie w warunkach straszliwych, w jakich wypadało Dawidowi pracować i pisać „Pshychologję Religji". Nie zmienia to znaczenia świadectwa olbrzymiego trudu myśli i rozległych studjów przygotowawczych, które dały niezmiernie pożyteczną i pouczającą rozprawę, wzbogacając w rzecz oryginalną naszą ubogą religjoznawczą literaturę. Z tych wszystkich względów podnieść trzeba zasługę p. Henryka Lukreca, który przez swoją pracę i doskonałą biografję przypominał wielkość postaci p. Wł. Dawida, jak również zasługę wydawców, którzy przez pietyzm dla trudu myśli uważali za swój obowiązek wydać „Psychologję Religji" po 20 latach od czasu jej napisania.

Józef Węgliński

„SPEC OD RUIN"

Na czoło dotychczasowych reportaży o Sowietach wybijają się prace Knickerbockera i Rundta. Pierwszy — poświęcił całą uwagę ekonomicznemu obliczu nowej rzeczywistości, przyczem zasiąg jego zainteresowań objął głównie zdobycze przemysłu na froncie pierwszej piatiletki.

Inne zadanie postawił sobie reporter niemiecki — Artur Rundt. Przedmiotem jego obserwacyj był „nowy obywatel, którego tworzą Sowiety". Knickerbocker reprezentuje punkt widzenia ekonomisty, który notuje osiągnięcia nowego systemu gospodarki, — Rundt starał się zgłębić i odcyfrować przemianę, jakiej uległa jednostka, chwycona w tryby nowych metod, wychowana w atmosferze odrębnej rzeczywistości kulturalnej i społecznej.

Mimo odrębności zainteresowań i odmienności stanowisk obserwacyjnych — reportaże Knickerbockera i Rundta noszą wspólne znamię. Obydwie relacje k o n f r o n t u j ą przeszłość z teraźniejszością.

Bodaj, że cechą nieodłączną od każdej publikacji o Związku Radzieckim jest owa konfrontacja „wczoraj i dziś", gdzie „wczoraj" jest coraz szybciej blednącem i niknącem tłem, a „dziś" narasta nową treścią ekonomiczną, kulturalną i społeczną.

Tego motywu nie zawiera reportaż p. Janty-Połczyńskiego p. t. *„Wgłąb ZSSR."* (Wydawn. „Roju"). Gotowi jesteśmy posądzić autora o brak zmysłu aktualności i żywszego zaniteresowania tem, co się dzieje na szóstej części lądu ziemskiego, skoro potrafił skoncentrować uwagę niemal wyłącznie na historycznych zabytkach i krajobrazie zwiedzanych miejscowości, a jedynie w dwóch rozdziałach —

pierwszym i ostatnim — poświęconych Magnitogorskowi i Dnieprostrojowi, spojrzał na ZSSR. przez pryzmat konkretnych osiągnięć.

Oryginalność relacji Połczyńskiego polega na wyborze trasy. Autor zwiedził miejscowości, nieobjęte dotychczas szlakiem turystycznym. Udał się wgłąb ZSSR. Rozpoczął od Mekki turystów — Magnitogorska, skończył na Medynie — Dnieprostroju, ale w międzyczasie etapami jego podróży były Samarkanda, Buchara, Tyflis, Jałta i szereg innych miast, leżących zdala od licznie uczęszczanego szlaku reporterów zagranicznych. Wybór drogi był więc nowy i samodzielny. Ale autor nie uwydatnił sensu dziejących się w głębi ZSSR. zmian, szczególnie jaskrawych w Azji Środkowej.

Upodobał sobie raczej oględziny rozmaitych zabytków, w rodzaju grobu Tamerlana, Ławry Pieczerskiej, czy wnętrz meczetów, chociaż przyznaje, że trzeba wyjść poza historję, poza pomniki i groby przeszłości, poza tradycję i romantyczność cieniów, aby zobaczyć szkoły i kluby, warsztaty i fabryki, nowe organizacje świata pracy.

Z jednostronnego zapatrzenia się w przeszłość powstają rażące dysproporcje. Jaskrawo zarysowała się ta dysproporcja w opisie Buchary, gdzie kilkadziesiąt wierszy, poświęconych jest gruzom, kopułom, emirom i ich pederastycznym skłonnościom, a jeden — dosłownie jeden wiersz — mówi o sowietyzacji, który czyni postępy („Magazyny, kooperatywy, radjo — wszystko się tutaj trafia"). W Samarkandzie p. Janta-Połczyński zwiedził grób Tamerlana i meczet. W Turkiestanie zainteresował go ruch basmaczich, pozostałość dawnych ruchów wolnościowych, które wyrodziły się w bandyckie ruchawki. Są protestem przeciw nowemu systemowi. Opór basmaczich podsyca kolektywizacja i upaństwowienie... wody, która doniedawna była w posiadaniu bogatych chłopów, a uboższa ludność mogła jedynie dzierżawić jej użytkowanie. Basmaczi walczą przeciw kolektywizacji, reformom obyczajowym, godzącym w tradycję i religję, przeciw obnażaniu twarzy kobiet, przeciw przymusowi jednożeństwu, przeciw wszelkim nowatorskim zapędom sowieckiego regime'u. „Basmaczi" stanowią najbardziej bodaj interesujący fragment reportażu.

Uwaga p. Janta - Połczyńskiego zbyt często kierowała się ku zabytkom, zbyt mało interesowała go żmudna, powszednia praca oświatowa i gospodarcza. To też niedalekie od prawdy było powiedzenie jednego z jego przygodnych towarzyszów podróży, że p . Janta-Połczyński „jeździł po Sowietach, jako spec od ruin".

Józef Szpecht

„Epoka" daje lekturę wszechstronną i poważną, pragnąc zaspokoić głębsze potrzeby intelektualne i duchowe czytelnika.

O T. ZW. ZAJMOWANIU SIĘ NAUKAMI PRZYRODNICZEMI

Zajmowanie się naukami przyrodniczemi przez t. zw. „laików" (to jest ludzi mało na czem się znających wogóle, a specjalnie o danej rozpatrywanej sferze nie mających bladego pojęcia), to jest czytanie popularnych książek z dziedziny fizyki, astronomji, bjologji i t. p. (tylko nie filozofji okrzyczanej przez durniów za bzdurę), jest bardzo cennym nabytkiem w naszem wyjątkowo ogłupiałem (szczególniej w nowo tworzącem się pokoleniu) społeczeństwie. Bardzo jest to dobre i pożyteczne dążenie, szczególnie w czasie, gdy pojawia się w tłomaczeniu mnóstwo dzieł pierwszorzędnych popularyzatorów zagranicznych i gdy nawet my zaczynamy coś w tym kierunku produkować. Ale, aby osiągnąć należyty skutek z tych „czytanek", należy wiedzieć, czem jest nauka wogóle, jaki jest jej stosunek do kwestji poznania wogóle, jakie są problemy w obrębie samej sfery nauki (np. problem stosunku fizyki do bjologji) i rozumieć inne zagadnienia, któremi zajmuje się właśnie pogardzana w szerokich kołach inteligencji i półinteligencji filozofja, uważana przeważnie za zbiór dowolnych dywagacji, pisanych przez różnych tumanów w ciągu historji naszego rodzaju, od czasów greckich, aż do dzisiejszych.

W naszych bowiem czasach, według proroków dawno przebrzmiałego, płytkiego, dziewiętnastowiecznego materjalizmu, skończyć się ma ta filozoficzna bzdura zupełnie, a tereny jej niby mętnych gadań zająć ma nauka ścisła. Niema większego i zgubniejszego—szczególnie dla naszej umysłowej kultury — pomięszania materji, jak to właśnie. Na zupełnem zaniedbaniu intelektualnem, ściślej filozoficznem, naszej inteligencji, tak twórczej, jak i odbiorczej, polega szalony upadek naszej literatury, publicystyki i wogóle naszej umysłowości, której — jeśli nie nastąpi jakieś ogólne przeświadomienie co do zbliżającej się katastrofy — wstydzić się będą niedługo wobec całego świata wymierające osobniki z wyższych sfer intelektu.

Jednym z czynników podnoszących poziom intelektualny naszego społeczeństwa byłoby właśnie to zajmowanie się powszechne spopularyzowaną wiedzą o przyrodzie, gdyby dziwnym sposobem nie była ona — na tle ogólnego naszego zidjocenia i filozoficznego niewykształcenia — jeszcze jednym korkiem (sztompką), zabijanym w głowy nieszczęsnych inteligentów przez nieświadome swego działania i w innych warunkach dodatnio oddziaływujące siły.

Nie rozumiejący stosunki filozofji do nauki i stosunku tej ostatniej do rzeczywistości, inteligent, nabiera przekonania pewnego rodzaju fizyków, (którym tę aberację ogólną na tle ich genjalności w ich dziedzinie specjalnej można ostatecznie darować), że pogląd fizykalny jedynie daje zupełnie adekwantne poznanie rzeczywistości, czyli innemi słowy istotny opis świata, w którym to świecie bądź co bądź przeważa jedynie oczywiście „prawdziwa" „materja martwa", do którego to pojęcia w najszerszem znaczeniu (do elektronów, „paczek fal" i różnych promieniowań włącznie, czy wogóle „rozciągłości w ruchu"), daje się wszystko sprowadzić, *y compris* my sami z naszemi ciałami, jakoteż wszystkie wogóle

stwory żywe. Jeśli dotąd się to nie stało, to tylko dzięki chwilowemu nieopanowaniu technicznemu pewnych dziedzin, co z czasem zupełnie ustąpić musi i nie będzie już wtedy tajemnicy żadnej w funkcjonowaniu żywego organizmu, który będzie wytłomaczalnym całkowicie przy pomocy t. zw. wzajemnego działania „ślepych sił przyrody", wyrażalnego bez reszty w mechanicznym modelu świata, zastosowanym do jego najdrobniejszych elementów*). Takie jest nastawienie każdego materjalisty, nawet bardzo umiarkowanego. Jest ono z gruntu fałszywe, ponieważ, mimo wszelkich zasług nauki, jest ona ograniczona nieubłaganemi prawami istnienia wogóle, dla żadnego, od najniższego do najwyższego stworu nieprzekraczalnemi **).

Pogląd fizykalny jest tylko przybliżonym statystycznie opisem pewnego wycinka istnienia i nie może mieć pretensji do objaśniania jego całości. Grozi to wpadnięciem w materjalistyczną metafizykę, która niezmiernie łatwo czepia się głów, nie znających podstawowej problematyki filozofji i doprowadza je do życia fikcjami, w imię których pogardzają oni stokroć ciekawszemi rzeczywistościami, które za fikcje znów uważają. Do problemów tych powrócę w dalszych artykułach. Zaznaczyć jeszcze należy, że niewykształcony filozoficznie, choćby nawet prymitywnie osobnik, nietylko zakorkowuje się przez czytanie bezkrytyczne spopularyzowanej wiedzy i zagłębia się w pozornie samowystarczalny (jeśli nie teraz, to według nadziei naiwnych fizykalistów w przyszłości) gmach fizykalizmu, (jako taki, bez przekraczania należnych mu granic, twór bezcennej wprost wartości), ale, pod pozorami tylko intelektualnej pracy, zapada w zupełne lenistwo ducha.

Uczony odkrywający dane prawdy w związku z doświadczeniami i wyciąganiem z nich wniosków na podstawie teorji byłych i tworząc sam nowe, pracuje intelektualnie w sposób twórczy. „Osobnik", poznający ten proces w stanie gotowym i jego wyniki, nie potrzebuje wcale umysłowo pracować. On asymiluje tylko poprostu wiadomości, które bez zrozumienia ogólnego stosunku fizyki do rzeczywistości, nie stanowią dla niego żadnej struktury, tylko bezkształtną kupę. A jest tak dlatego, że mechanistyczny światopogląd nie jest poglądem samowystarczalnym i opiera się, jako taki na nigdy niespełnialnych obietnicach***). Jest to tak, jakgdyby ktoś przyzwyczaił się żyć w atmosferze tymczasowości, siedząc na walizach w poczekalni, z tem założeniem, że pociąg, na który niby czeka, nigdy nie nadejdzie i co ważniejsze nadejść nie może. Jedynie praca nad pogardzaną u nas, na tle ogólnego niezrozumienia jej istoty, filozofją, może dać ramy, w których wiadomości z nauk przyrodniczych i fizyki ułożą się we względnie uporządkowaną całość, bo jak mówi słusznie jeden z filarów dzisiejszej fizyki, H. Weyl: „Vor allem bleibt die Aufgabe zu begriffen, wenn sich nicht unseres Wissen in ein sinnloses Chaos verwandeln soll". (Przedewszystkiem mamy obowiązek (ogólnego) pojmowania, jeśli cała nasza wiedza nie ma się zamienić w bezmyślny chaos).

Stanisław Ignacy Witkiewicz

*) Używam pojęcia „mechanistyczny pogląd", czy „mechaniczny model" w szerszem, niż zazwyczaj znaczeniu, włączając w pojęcie to nawet dowolnie wysublimowane i idealistyczne w fizykalnem znaczeniu koncepcje najnowszej fizyki.

**) Daje się obecnie zauważyć silna reakcja przeciw mechanizmowi w bjologji. Porównaj dzieła Driescha, Haldane'a i S. E. Russella. Jednak autorowie ci dalej popadają w niedozwolone, według mnie, fantazje filozoficzne, o czem później.

***) Patrz n-ry „Zetu", od n-r 20-go począwszy: „Popularna analiza poglądu fizykalnego.

O NAMIĘTNOŚCI MYŚLIWSKIEJ

Solidaryzując się z tezami artykułu p. Skiwskiego o pacyfizmie w Nr. 5 „Wiadomości Literackich", prof. Poplewski, w liście do redakcji „Wiadomości", wyraził przy sposobności oburzenie, że w cywilizowanym świecie toleruje się jeszcze zabijanie zwierząt dla przyjemności, czyli myślistwo.

Pewna doza słuszności poglądu prof. Poplewskiego skłoniła mnie do analizy własnych uczuć i przeżyć dla zdania sobie sprawy z tego, na czem właściwie polega rozkosz myśliwska?

Czy jest to istotnie tylko rozkosz troglodyty i barbarzyńcy, czy też inne pobudki psychiczne pchają ludzi do szukania rozrywki i przyjemności w łowach?

Do tej analizy uczuć i wyciągnięcia z niej wniosków czuję się tem więcej powołany, że od 10-go roku życia myślistwo było moją największą namiętnością, a teraz od lat już wielu broń moja bezczynnie spoczywa w futerale i jestem dezerterem z chorągwi św. Huberta.

Stało się zaś to nietylko dlatego, że zmieniły się warunki mego życia, ale przedewszystkiem dlatego, że gruntownie zmienił się mój stosunek do samej sprawy: przyszedł mianowicie moment, w którym rozkosz emocji myśliwskiej przestała górować we mnie nad mglistym wyrzutem sumienia z powodu zadawania zwierzętom cierpień i śmierci.

I wtedy rzuciłem broń.

Lekkiego niepokoju wewnętrznego doznawałem zawsze.

Nawet w latach najmłodszych, nawet w największym zapale łowieckim nie miałem wątpliwości, że polowanie jest okrucieństwem.

Myśliwi nie lubią jednak przyznawać się do tej świadomości. Zarzut dysproporcji szans, jaka zachodzi między strzelcem, a zwierzyną odpierają słabym argumentem, że zwierzyna lotnością swych skrzydeł i nóg, swą zmyślnością, wreszcie naturalnem uzbro-

„Epoka" jest posterunkiem ideowym, który służy najwznioślejszym hasłom naszych czasów.

jeniem w zęby, rogi i pazury szanse te wyrównywa. Głównym zaś argumentem myśliwych jest twierdzenie, że sam fakt zabijania jest drugorzędnym elementem rozkoszy łowieckiej, polega ona bowiem przedewszystkiem na przyjemności obcowania z naturą i na możności podpatrywania jej tajemnic.

Ja także długo operowałem tym nieszczerym argumentem w sporach — nawet z samym sobą.

Argument to nieszczery nie dlatego, aby myśliwy był nieczuły na piękno przyrody, aby go ono istotnie nie pociągało, lecz dlatego, że nie bezinteresowna kontemplacja natury jest celem jego wycieczek, lecz prawdziwym celem jest żądza zdobyczy, a nastrój pejzażu i chwili jest tylko tłem, wzmagającem rozkosz zaspokojenia namiętności. Kulminacyjnym jej punktem jest zawsze celny strzał i śmierć ofiary. Nie przesuwajmy więc punktu ciężkości na — dekorację. Słyszałem tylko o jednym takim myśliwym, który co roku z całym ekwipunkiem i wielkim nakładem kosztów jeździł w góry na rykowisko jeleni, o świcie podkradał się z przewodnikiem do upatrzonej sztuki, z bijącem sercem brał ją na muszkę, poczem upewniwszy się, że wystarczyłoby nacisnąć cyngiel, by zdobycz posiąść, odejmował broń od oka, płacił wysokie strzałowe i zadowolony wracał do domu. To był istotnie myśliwy, który polował na piękno świtu w górach i na emocję podpatrywania na wolności walczących o miłość jeleni. Czy mam dodawać, że myśliwy ten był przedmiotem bezlitosnych kpin swoich kolegów?

Nie należy więc wmawiać w innych, ani w siebie, że chodzi tu o czysty filozoficzny lub poetycki stosunek do natury. Na strzał, krew i śmierć nie ma miejsca w tych pięknych i wzniosłych ramach.

Ale — broni się myśliwy — w grę wchodzi i sztuka celności strzału.

Oczywiście, — prosimy więc na strzelnicę, gdzie w strzelaniu do celów stałych i ruchomych, a nawet do krążków wyrzucanych w powietrze, można wykazać się mistrzostwem w tym kunszcie.

Myśliwy macha ręką zniecierpliwiony i odpowiada:

— To nie to samo!

I ma słuszność, bo strzał do żadnego celu stałego, czy ruchomego nie daje tej przyjemności, jaką daje strzał do zwierzyny.

Na czemże polega w takim razie istota rozkoszy myśliwskiej, jeśli nie tkwi ona, ani w czystej kontemplacji piękna przyrody, ani w opanowaniu sztuki strzeleckiej, ani w zadawaniu cierpienia i śmierci zwierzynie?

W mojem przekonaniu istota tej rozkoszy polega— na niespodziance.

Jest to jeden z przejawów zakorzenionej w duszy ludzkiej tęsknoty do przygody, do ryzyka, a nawet do hazardu.

Strzelec, udający się do strzelnicy miejskiej zgóry wie, do jakiego celu i w jakich warunkach strzelać będzie. Nie liczy na żadne niespodzianki i żadne go też nie spotykają. Przyjemność jego jest nieskomplikowana — polega jedynie na trafieniu do celu. Rozkosz myśliwego jest uczuciem złożonem. Celność strzału jest tylko jednym z jej elementów. Myśliwy zagłębiający się w knieję, nigdy nie wie, co go w ciągu jego dnia łowieckiego spotka. Knieja jest tajemnicą, która pociąga, podnieca wyobraźnię, pozwala marzyć o przygodzie. Przyroda jest zmienną, o każdej porze roku, o każdej godzinie dnia zmienia się krajobraz, horyzont, nastrój lasu, pola, jeziora, a wraz z niemi skala wrażeń i emocji. Spotkanie ze zwierzyną następuje niespodzianie i za każdym razem w innych warunkach. Zmienia się miejsce, gatunek zwierzyny, okoliczności towarzyszące strzałowi. Jest ciągłość nowości, ciągłość niespodzianki.

Na strzelnicy okoliczności, towarzyszące strzałowi, są zawsze jednakowe.

W kniei i w polu tło i warunki są wciąż zmienne, a wraz z niemi zmieniają się nieustannie i emocje myśliwego. Każde spotkanie, każdy strzał różni są od wszystkich poprzednich i wszystkich następnych i daje inne wzruszenia. Na strzelnicy i w kniei strzał strzałowi nierówny.

W tej niespodziance, w tem marzeniu o przygodzie tkwi istota rozkoszy myśliwskiej i magnes ciągnący ludzi do puszcz, pól i bagien.

Myśliwy nie jest sadystą, który obojętny na wszystko inne, poto poluje, by zaspokoić swój instynkt widokiem cierpień, krwi i śmierci swych ofiar. Widok ten sprawia mu nawet często głęboką przykrość, ale kompleks wrażeń, jakich mu myślistwo dostarcza, pociąga go silniej, niż go odpycha przykry widok rannego zwierzęcia.

Zaryzykuję tezę: myśliwy jest prymitywnym poetą, który kosztem tej przykrości okupuje możność zaspokojenia swego pragnienia przygody, nowych wrażeń, silnych emocyj.

Jeśli w ten sposób oczyszczam myśliwego z zarzutu lubowania się w bezmyślnem okrucieństwie, to tem samem jednak nie chcę oczyszczać myślistwa z zarzutu, że jest okrutne. *Zarzut jest prawdziwy.*

Okrucieństwem jest wojna, okrucieństwem jest myślistwo, okrucieństwem jest ubój bydła, okrucieństwem jest wiwisekcja, nie mówiąc już o okrucieństwie jakie tkwi w ustroju i przejawach samej przyrody.

Cóż więc począć z okrucieństwem myślistwa? Zakazać polawań? Myślistwo nie jest najcięższą zbrodnią człowieka. W obliczu pierwszego okrucieństwa, okrucieństwa wojny, potępionego jedynie na papierze, wówczas gdy w rzeczywistości, w każdej chwili narody runąć mogą na siebie, aby wzajemnie się wyrzynać — blednie okrucieństwo człowieka wobec zwierza leśnego i ptactwa.

Zachowajmy właściwą kolejność w zasadniczem i powszechnem regulowaniu tych spraw. Na pakt Kelloga dla zwierzyny nie wybiła jeszcze godzina, gdy sygnatarjusze tego paktu dla ludzi sami biorą się za łby.

W dziedzinie myślistwa wysunąłbym więc tylko jeden postulat: młodzieży, przebywającej na wsi, zwłaszcza podczas wakacji, nie dawajmy do rąk flowera, ani dubeltówki, aby się zaprawiała w strzelaniu do ptaszków. Jej żądzę przygód, wrażeń i emocji nietrudno skierować w inne łożysko.

St. Czosnowski

SPOWIEDŹ MUZUŁMANKI*)

II. *(Dokończenie).*

Obawiałam się, że matka odda mnie znowu do iszana, przecież wuj powiedział: „Mięso jest wasze, a kości nasze", Dlatego prosiłam kierownika, by do matki nie pisał. Odrzekł tylko: „Bez powodu nie napiszę".

W kilka dni później, gdy byłam dyżurną i porządkowałam sypialnię, zobaczyłam stojącą we drzwiach i zaglądającą jakąś zakwefioną kobietę.

— Nie bój się, nie bój! — wołałam, śmiejąc się — Możesz wejść, niema tu mężczyzn.

Obca kobieta zbliżyła się sztywno do mnie, tak że przestraszyłam się. Czarna zasłona dotknęła już mojej twarzy, gdy kobieta krzyknęła:

— Chasjad!

Była to matka. Zpoczątku nie mogła nic mówić, tylko dotykała mnie. Potem przyciągnęła mnie do siebie, całowała i płakała, płakała. Na to przyszedł mój wój i patrzył na mnie również zmieszany.

Powoli, powoli, dowiedziałam się, dlaczego byli tak wzruszeni; wuj wkrótce po weselu swej córki, wrócił z powrotem do Kokandy, by mi, jak przyrzekł, przywieźć suknię. W domu iszana dowiedział się, że mnie zamordowano. Gdy nie wróciłam do domu z polowania na żaby, kazał iszan sprowadzić wróżkę, która miała wyjaśnić, gdzie ja się obracam. Stara wrzuciła garść bawełny do gorącej wody i poczęła opowiadać co widziała: — Na brzegu jakiegoś kanału chwyta mnie basmacz — porywa mnie na konia — i uwozi stamtąd. Potem widzi, jak wlecze mnie w krzaki. Nagle wróżka krzyknęła: „Teraz już światło jej zgasło!" Z tą wiadomością o mojej śmierci wrócił wuj, a matka długo mnie opłakiwała...

Przed trzema dniami nadeszła ze szkoły wiadomość, że tu jestem i że matka może przybyć do Kokandy. W najwyższem podnieceniu wybierała się ze swym bratem w drogę, by się dowiedzieć, co ta wiadomość miała znaczyć. Mimo wielkiej radości, że zastała mnie przy życiu, robiła mi wyrzuty: — Dlaczegóż to jesteś bez czarczafu? Kto cię namówił do popełnienia takiego strasznego grzechu? Źli ludzie mają wpływ na ciebie.

Przysięgłam, że chodzę bez zasłony tylko w domu i w szkole, że nigdy niezakwefiona nie byłam na ulicy, lecz i to uważała matka za grzech i bezwstyd, gdyż jak łatwo mógł przechodzić jakiś mężczyzna i mnie tak zobaczyć!

Na wieczór zaprosił nas do siebie kierownik, ja byłam zakwefiona, choć on widywał mnie zawsze bez zasłony, a jego żona i siostra również siedziały obok niezakwefione. Rozmawiał cicho z mym wujem i matką, potem zawołał mnie i dowiedziałam się, dlaczego napisał do domu. Nauczyciel chciał matkę prosić o moją rękę. Nie — odrzekłam, — chcę tu pozostać i uczyć się dalej. Kazano zawołać nauczyciela; przyszedł i zgodził się na to, że również jako jego żona będę chodziła do szkoły.

W ten sposób pobraliśmy się. Było to inne wesele, niż moje pierwsze. Poszliśmy poprostu do SAG, sowieckiego urzędu stanu cywilnego i kazaliśmy zapisać się, jako mąż i żona. Urzędniczką nie był nikt inny, jak Ibrahimowa. Była uszczęśliwiona, że pozostałam w szkole, a jeszcze bardziej, gdy jej opowiedziałam, jak chętnie się uczę.

Do roku 1922 pozostawałam w szkole, potem dostaliśmy, ja i mój mąż pozwolenie wstąpienia na „Rabfak" w Taszkencie (fakultet robotniczy — szkoła przygowawcza do uniwersytetu).

Jako studentka i żona młodego komunisty, nie mogłam wychodzić w czarczafie. Ach, tego zupełnie nie mogę określić, jak to było, gdy szłam w pierwszych dniach niezakwefiona przez ulicę; trzymałam się tuż za moim mężem, tak że moja twarz prawie była przyciśnięta do jego pleców, i zezowałam, czy przechodnie nie zatrzymują się i nie śmieją..

Musi pan pamiętać, że kobiecie wolno było tylko przed ojcem i synem osłonić twarz i ręce, twarz można było pokazać także własnym braciom i starszym braciom matki. Przypominam sobie, że pewnego dnia, gdy miałam osiem lat i właśnie włożono mi zasłonę, matka rzekła do mnie: „Mirismon został dzisiaj obrzezany". Mirismon był to chłopak sąsiadów, uczyłam go chodzić, gdy sama miałam trzy albo cztery lata, prawie od samego urodzenia bawiłam się z nim. Oświadczenie mojej matki znaczyło, że od tego momentu nie wolno mu widzieć mojej twarzy.

„Jest hańbą i wstydem dla całej rodziny, gdy mężczyzna słyszy, jak kobieta kaszle, lub gdy obcy mężczyzna widzi rękę kobiety". Tak głosił bardzo często kapłan, wiem o tem, gdyż za każdym razem po powrocie z meczetu przychodził ojciec do nas od iszkari i powtarzał to zdanie, które mułła czytał z Ktabu. Dziewczyna, która obejrzała się za mężczyzną, uchodziła za prostytutkę.

Opowiedziałam o tem tylko w tym celu, żeby pan zrozumiał, co to było dla mnie iść przez ulice Taszkentu bez zasłony i oglądać się, czy nikt nie stoi i nie szydzi ze mnie.

W roku 1923 wstąpiłam do Związku Młodzieży. Po ukończeniu Rabfaku chodziłam na uniwersytet, studjowałam ekonomję polityczną, historję rewolucji i pokrewne gałęzie wiedzy. Rosyjskiego języka nauczyłam się już na robotniczym fakultecie.

Pięć lat byłam w Taszkencie, stałam się członkiem partji i ukończyłam studja uniwersyteckie. Mój mąż skończył uniwersytet rok przedemną i był czynny w Kaganie w Bucharze, dokąd i ja pojechałam. Byłam tam polityczną kierowniczką związku kobiecego, którego członkiniami przeważnie były robotnice, zajęte przy kulturze jedwabników.

Z Kaganu poszłam do sekcji kobiet w Stalinabadzie, który wtedy jeszcze nazywał się Djuszambe, wkrótce potem wybrano mnie na zastępczynię przewodniczącego sowjetu miasta (wiceburmistrzynię). Był to czas rozbudowy. Postawiono setki nowych domów, zbudowano pierwszą kolej, wszystko musiało być zorganizowane. Często cały dzień nie było mnie w domu.

Z mężem moim pracowała w tym samym urzędzie pewna Rosjanka, i oboje zakochali się w sobie; z jednej podróży służbowej do Taszkentu napisał mi, że był tam w SAG i zameldował swoje wystąpienie

*) Rozdział z książki znakomitego reportera Egona Erwina Kischa: „Asien gründlich verändert", która niebawem ukaże się w autoryzowanym przekładzie Wacława Rogowicza.

z naszego małżeństwa. Pisał mi, że nie miał odwagi uprzedzić mnie o swoim zamiarze, prosił bym mu przebaczyła. Rozstanie to było dla mnie bardzo przykre, lecz praca nie pozostawiała mi wiele czasu na zajmowanie się mym bólem.

W roku 1929 przybyłam do Garmu, by zorganizować dzień okręgowych delegatek kobiet; kobiety były tu politycznie i gospodarczo bardzo zacofane. Suszenie wielbłądzich odchodów na opał (topak) było ich jedynem zajęciem; bywały jeszcze małżeństwa przedwczesne, między dziećmi, wskutek tego wiele poronień, wielożeństwo było regułą, brak hygieny, brak oświaty, prawie stuprocentowy analfabetyzm. Zaproponowałam partji, by mnie tu zostawiła, aż ten zły stan rzeczy będzie usunięty, no i tak zostałam.

Chciałby pan jeszcze wiedzieć, co się stało z innemi osobami, o których mówiłam? Iszan Rachmatullach pozostał w Kokandzie, dwie jego żony umarły, ale ta, której nie przyniosłam owych żab, żyje jeszcze. Powodzi mu się źle, niewielu ludzi przychodzi do niego, by prosić go o czary. Jego murid, Hakim Said, potworny starzec, którego nie mogłyśmy ścierpieć i który ożenił się z moją kuzynką Obidabi, umarł przed kilku laty, a Obidabi wyszła zamąż powtórnie. Druga kuzynka, Sobira, powróciła do Czustpap, jest szoferką traktorów, a jej mąż również szoferem. traktorów. Mój brat jest dyrektorem fabryki chleba w Ferganie, siostra moja pracuje w samarkandzkiej przędzalni. Matka jest przewodniczącą kolektywnego gospodarstwa warzywnego, złożonego z 40 członków. Nauczyła się czytać i pisać. Pisuje do mnie długie listy — ale niełatwo je odczytać. Od sześciu lat już nie nosi czarczafu.

PRZERAŻONE KOŁTUŃSTWO

Przyznanie nagrody literackiej m. Warszawy Tadeuszowi Boyowi - Żeleńskiemu wywołało popłoch i przerażenie w obozach wojującego kołtuństwa. Wołają, że to hańba, że to „policzek dla kulturalnej Warszawy", że to objaw „strasznej demoralizacji".

Hańba? Hańbą mogło być właśnie to, że największy publicysta w Polsce stale był dotychczas pomijany przy wszelkich nagrodach państwowych i miejskich.

Policzek? Owszem. Ale nie dla kulturalnej Warszawy, tylko dla handlarzy ciemnoty i organizatorów nowego średniowiecza.

Demoralizacja? Jeżeli moralnością jest nauka kłamstwa, fałszu i obłudy, to, naturalnie, Boy-Żeleński szerzy „straszną demoralizację".

Niechże ją szerzy. Życzymy mu wytrwałości i najlepszego humoru na widok paniki w szeregach kołtunerji.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Hordy rozpuszczone przez rząd Hitlera po Rzeszy niszczą kulturę niemiecką i gnębią ludzi, a tymczasem w obozie partyj robotniczych toczą się smętne narzekania, dlaczego w porę nie stworzono jednolitego frontu, o który byłaby się rozbiła wszelka nawała hitlerowska. Narzekania spóźnione i tem bardziej bezcelowe, że i teraz jeszcze toczy się przykra dyskusja między socjalistami a komunistami na temat, kto jest winowajcą rozłamu w obozie robotniczym. Spór ten do niczego nie prowadzi, najwyżej tylko utrzymuje złe stosunki między partjami robotniczemi, pomimo niewątpliwej tendencji do jednolitego frontu istniejącej w masie pracującej. Nie jest to zjawisko odosobnione i widoczne jedynie w obozie robotniczym. W szerszym zakresie rozbieżności prądów i tendencji ujawniają się na całem życiu międzynarodowem, stwarzając podłoże do różnych kontredansów, ułatwiających działanie sił, obrażających współżycie narodów, jak hitleryzm.

Niewątpliwie np. front jednolity państw wobec zagrażających wszystkim i wszystkiemu rządów Hitlera, ułatwiłby Niemcom wyżycie tego stadjum sytuacji politycznej.

Trzeba oddać sprawiedliwość opinji społecznej świata, że jest ona pod tym względem zupełnie jednolita.

Aby nie być gołosłownym, powołajmy się na opinję wielkich organów prasy.

„*Manchester Guardian*" wielki organ liberalny angielski, któremu debit został świeżo w Niemczech odebrany, pisze m. in.:

„Dla dyktatury hitlerowskiej byłoby wielkim tryumfem, któryby skonsolidował jej władzę w Niemczech, gdyby demonstracje przeciw hitleryzmowi poza granicami Niemiec ograniczyły się do komunistów i gdyby cały świat i Żydzi ze względu na bezspośredni rzekomy interes Żydów niemieckich, od tych demonstracji uchylali się. Dawałoby to dyktaturze siłę niezwykłą i stwarzałoby pozory, że władza jej sięga wszędzie, nawet za morza".

„Manchester Guardian" wzywała i wzywa dalej cały świat do demaskowania gwałtów w Niemczech i piętnowania ich. Konserwatywny „*Sunday Times*" również niema co do tego wątpliwości i pisze tak:

„Żydzi w Niemczech reprezentują dziś walkę zasady prawa z niesprawiedliwością. Żydzi i nie-Żydzi wszystkich krajów nie mogą być w tej sprawie obojętni, o ile nie chcą stać się współodpowiedzialnymi z tymi, którzy Żydów torturują."

Do tych słów znakomitego publicysty Wickham'a Steed'a dorzućmy to, co pisze amerykański „*New York Times*": „Obecne wydarzenia potwierdzają tezę zasadniczą z czasów wojny, a mianowicie, że reakcjoniści niemieccy mają umysłowość stanowiącą niebezpieczeństwo dla cywilizacji. Ich sposób postępowania wywołuje ponownie zjawisko straszliwego odosobnienia Niemiec, z którego wydobyły się one z wielkim trudem. Idea, która zaślepia Niemcy, to przekonanie, że teror może być pożytecznem narzędziem polityki."

Wreszcie francuski „*Le Temps*" pisze:

„Można zrozumieć, nie aprobując, rozpasanie wszystkich namiętności rewolucyjnych, wywołanych przez nienawiści polityczne i społeczne. Widzieliśmy w Rosji, jak bolszewizm wyzyskał ducha klasowego, aby niszczyć systematycznie wszystkie siły wrogie dla komunizmu i dyktatury proletarjatu. Widzieliśmy, jak w Italji faszyzm był bezlitosny względem partji i ludzi, wiernych ideałom demokracji i duchowi wolności. Były to zjawiska, szczególnie w krwawej rewolucji rosyjskiej, odrażające, ale jednak dające się wytłomaczyć, były to ruchy rewolucyjne wymierzone przeciw pewnym zasadom i pojęciom i starające się stworzyć nowy porządek społeczny i polityczny. W Niemczech takiego przewrotu niema. Hitleryzm stawia sobie za cel ideę nie dającą się pogodzić z istnieniem współczesnego państwa bez względu na to, czy jest ono liberalne, faszystowskie, czy bolszewickie, a mianowicie ideę wykluczenia wszystkich żywiołów nie-germańskich rasowo. Średnie wieki mogły

zajmować się takiemi iluzjami, świat współczesny przy istniejącej współzależności interesów, narodów i państw, przy uniwersalizmie sztuki, nauki i przemysłu, nie może dostosować się do tego pojęcia dziecinnego i tragicznego jednocześnie. Antysemityzm niemiecki wzburza głęboko cały świat cywilizowany, stwierdza on bezład moralny, w którym znalazł się naród niemiecki, zamęt umysłów i sumienia u wielkiego narodu"...

Jednem słowem, przeciętna powszechna opinja publiczna angielska, amerykańska, francuska nie ma wątpliwości i zajmuje front jednolity względem Hitlerji.

**
*

Czy istnieje ten front wśród polityk rządowych, — oto pytanie, które się tu nasuwa. Na to pytanie, niestety, nie można dać odpowiedzi twierdzącej bez zastrzeżeń. Gdyby tak było, losy nacjonal-socjalizmu tryumfującego byłyby przesądzone szybciej, niż to nastąpić musi.

Oto mały, a charakterystyczny przykład. W Rosji sowieckiej uwięziono kilku inżynierów angielskich, zarzucając im sabotaż, szerzenie korupcji wśród urzędników i t. d. Na tem tle doszło do wielkiego naprężenia w stosunkach między W. Brytanją a Sowietami: ambasador Owey opuścił Moskwę, ogłoszono „Białą Księgę", rząd angielski przeprowadził przez Izbę ustawę o pełnomocnictwach dla usunięcia przywozu z Rosji sowieckiej.

W tym samym mniej więcej czasie w Berlinie zostali uwięzieni dwaj dziennikarze angielscy Catchpoole (kwakier-pacyfista) i Frazer (korespondent jednego z dzienników).

Na tle tego aresztowania toczyła się dn. 4.IV w Izbie gmin następująca rozmowa.

Poseł Cook (Labour-party) pyta, czy rządowi angielskiemu wiadomo, że dwaj obywatele angielscy (o których wyżej mowa) zostali aresztowani nie przez policję, lecz przez oddział szturmowców i czy mu wiadomo, że szturmowcy znęcają się nad więźniami?

Inny poseł z tejże partji, Attley, pyta z ironją, „czy zgodnie z najnowszym obyczajem (aluzja do zatargu z Moskwą. Przyp. nasz) rząd W. Brytanji nie zażąda zwolnienia obu Anglików i umorzenia procesu."

Wreszcie trzeci poseł robotniczy, Mac-Hoven, pyta: „Czy wobec wspomnianych wydarzeń rząd angielski nie odwoła swojego posła z Berlina?"

Na te wszystkie pytania w imieniu rządu odpowiedział podsekretarz stanu Eden tylko tyle, że obaj aresztowani są w rękach policji berlińskiej i że ambasador interwenjuje w ich obronie. Reszta pytań została bez echa.

Incydent ten ilustruje, jak niejednolita bywa reakcja mocarstw europejskich względem wydarzeń w zasadzie identycznych. O inżynierów angielskich w Moskwie — wielka interwencja, aż do odwołania ambasadora, o dziennikarzy angielskich w Berlinie — skromne zabiegi dyplomatyczne i... cisza.

**
*

Przy takiem nastawieniu rządów nie może być mowy o jednolitym froncie wobec Niemiec hitlerowskich, pomimo zwartej jednolitości opinji publicznej na Zachodzie. Brak tej jednolitości frontu polityki rządów pociąga za sobą i taką konsekwencję, że tuła się dotąd po kancelarjach dyplomatycznych sławetny projekt paktu 4-ch, który przecież byłby niczem innem, jak nagrodą międzynarodową dla Niemiec za gwałty hitlerowskie i upoważnieniem do przeniesienia zbójnictwa z dziedziny wewnętrznej polityki na forum międzynarodowe.

Rząd Hitlera, jest dotychczas traktowany, jak rząd normalny. Trzeba dodać: do pewnego stopnia. Zjawiają się przecież pewne ograniczenia, np. jak twierdzi fama prezydent Roosevelt, zapraszając rządy na wielką konferencję do Waszyngtonu, dał do zrozumienia, że nie chce mieć wśród gości samego Hitlera, lub kogoś z jego towarzyszów. „Gleichberechtigung" w zbrojeniach zdobywane przez Niemcy w Genewie zostało im odebrane w naradzie dyplomatycznej w Waszyngtonie. Oto ciekawy i wymowny przykład, jak rząd „dumy, ambicji i honoru narodowego" doprowadza swój własny naród do poniżeń, sprowadzając nań infamję, której przecież naród, jako całość napewno nie zasłużył, bo w ogólnoludzkim dorobku kultury ma swoje dawno wyrobione i zasłużone miejsce.

Jednolite stanowisko rządów zgodne z jednomyślną opinją publiczną świata nie daje się osiągnąć wskutek wielu rozbieżności tkwiących głęboko pomiędzy organizmami państwowemi. Faszyzm włoski chciałby np. sprzymierzyć się z hitleryzmem i wspólnie zrewidować mapę świata, ale z zastrzeżeniem, że to nie pociągnie za sobą włączenia Austrji do Niemiec. Socjaliści austrjaccy byli wraz z wielko-niemcami i hitlerowcami w Austrji gorącymi zwolennikami Anschlussu, a dziś zdaje się wolą swoją małą i także skłóconą ojczyznę, niż wielkie morze niemieckie, w któremby utonęli w otchłani więzień hitlerowskich.

**
*

Gdzieniegdzie i w obozie opinji publicznej świata następują dziwne załamania. Jeden np. z czołowych teoretyków politycznych w Polsce przewiduje podział świata w nadchodzących latach na dwa obozy „żydowskiego komunizmu" i „aryjskiego nacjonalizmu". Przy takim podziale chciałby Polskę ulokować w tym ostatnim obozie, a więc w jednym szeregu z hitleryzmem i faszyzmem. Tam miałaby znaleźć się Polska według opinji miarodajnego przedstawiciela obozu, który nienawiść do Niemiec uważał za fundament polskości. Takie to bywa czasem pomieszanie języków w naszej współczesnej wieży Babel tam, gdzie zasady sprawiedliwości i wolności są traktowane tylko egoistycznie.

**
*

A co słychać w Niemczech, oprócz haseł pogromu i zniszczenia wszystkiego, co nie jest rasowo - germańskie, oprócz odmiany we wszystkich przypadkach wyrazów „siły narodowe", „odbudowa narodowa" i t. p.?

Trzeba powiedzieć, że słychać bardzo niewiele. Tygodnie czynu pogromowego i frazeologji patrjotycznej mijają jeden za drugim. Zjawisk pozytywnej twórczości nie widać. Po dłuższej przerwie już z rąk nowego kierownictwa ukazała się statystyka bezrobocia na 31 marca. Stwierdzono w niej, że liczba bezrobotnych wynosi 5.598.000, t. j. o 449.000 mniej, niż na 15 marca. Inspiracje z min. propagandy najwidoczniej pochodzące, dają do zrozumienia, że jest to dzieło rąk nowej władzy. W istocie zaś jest to w dużym stopniu normalne zjawisko na wiosnę, a pozatem skutek rozmieszczenia zarejestrowanej bezrobotnej młodzieży w oddziałach szturmowych, które utrzymuje się teraz z kasy państwowej.

Drugiem zjawiskiem bardzo znamiennem jest przerwanie dochodzeń w sprawie nadużyć w Osthilfe. Trzeba przypomnieć, że rewelacje o nadużyciach junkrów pruskich, którzy rozdrapali grube miljony z funduszu pomocy wschodniej, rozpoczęły się za rządów gen. Schleichera i, jak mówiono, one właśnie przyczyniły się do przypieszenia sojuszu junkrów z Hitlerem i wspólnego obalenia gen. Schleichera. Epilogiem tej kampanji jest teraz ogłoszenie komunikatu komisji Reichstagu, na którym widnieją podpisy 3 nacjonal-socjalistów, 1-narodowca, 1-centrowca i 2 bawarów. Komunikat stwierdza, że nadużyć nie wykryto i że popieranie majątków junkierskich gotówką należało do obowiązków patrjotycznych.

Wreszcie jeszcze jeden fakt pozytywny, a mało znany: centrala związków zawodowych wolnych, która znajdowała się zawsze pod wpływem socjalistów, ogłosiła deklarację, w której podkreśla swo-

ją gotowość do współpracy z rządem w dziedzinie interesów zawodowych. Jako jedyne echo nastrojów organizacji i jej oblicza pozostało w deklaracji zdanie następujące wymierzone przeciw faszyzacji związków:

— Prawdziwa organizacja zawodowa pracownicza może opierać się tylko na wolnem ugrupowaniu swoich członków, musi być niezależna i od przedsiębiorców i od partji politycznych".

Zobaczymy, czy rząd hitlerowski na to „wolnym związkom zawodowym" pozwoli. Już wielu ludzi i organizacji przekonało się w Niemczech, że najdalej idąca ustępliwość niczego nie ratuje i niczego nie zabezpiecza, bo fala niszczącego nacjonalizmu, nie ma w sobie żadnych ośrodków hamujących. Te mogą mogą przyjść tylko z innych warstw społecznych, dziś bezwładnych i milczących.

St. Gr.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu Kazimierzowi Z. we Włocławku. Są publicyści, którym się nie odpowiada. Ten paszkwilant i klown dziennikarstwa polskiego nigdy nie doczeka się z naszej strony odpowiedzi, choćby wymyślił jeszcze sto dowcipów i sto oszczerstw.

Panu St. J. M. w Warszawie. Pisze Pan słusznie: „Prasa Narodowej Demokracji musi co chwila zmieniać swoje okrzyki pod adresem Hitlera. Kiedy hitlerowcy biją Żydów, prasa ta jest zachwycona, kiedy prześladują Polaków, woła „Precz z Hitlerem! Więc „niech żyje" czy „precz"? Jedno i drugie". Tak jest. To się nazywa „mądrość polityczna".

Pani Zofji L. w Częstochowie. Do tego właśnie doszło: kiedy się woła — nie mordować! — uchodzi się za „idealistę". Za miłe słowa dziękujemy serdecznie.

Panu Edwardowi T. w Poznaniu. Nie możemy drukować tak obszernych rozpraw.

Panu Wacławowi N. w Bydgoszczy. Dziękujemy.

Pani Helenie W. w Gdyni. Sprawa ważna, pogląd Pani słuszny, ale styl już zanadto kwiecisty. Poco tyle metafor, alegoryj, okrzyków i westchnień? Dałoby się to wszystko powiedzieć zwyczajnie, słowem prostem i jasnem.

TREŚĆ NUMERU:

Przypominamy Sz. Czytelnikom, że czas odnowić prenumeratę na 2-gi kwartał 1933 r. Czytelnicy, którzy nadeślą przedpłatę, unikną przerwy w otrzymywaniu pisma. Prenumerata kwartalna—6 zł. (Konto P.K.O. Nr. 26.630.)

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z.-257 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3